

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (48)

(fragmenty)



Czym jest dla niego sztuka tłumaczenia? Tu lubi się posługiwać obrazowym porównaniem, które warto zacytować: – To tak, jakby rozebrać u nas pałac zbudowany z kamienia i zbudować go w Afryce z gliny albo słomy. Niby według tego samego planu architektonicznego, według tej samej idei, ale nic ponadto. Cała materia, mięsz językowy są zupełnie inne. Na dodatek chata będzie osadzona w innym krajobrazie i będzie inaczej się komponować z całym otoczeniem...

Mimo trudu, jaki wkłada w przekład, stanowi on dla niego również źródło przyjemności, porównywalnej z ciężkim treningiem sportowca i z rozkoszą, jaką osiąga, bijąc rekordy...

Dlaczego sportowca?

Tu wkraczamy w drugą domenę Ireneusza Kani. Otóż o ile w okresie jesienno-zimowym pracuje jako tłumacz – po 4, 5, 6 godzin dziennie – o tyle kiedy przychodzi wiosna, pełnia słońca, znaczną część czasu wypełniają mu, obok lektury, pasje sportowe. Jest swoistym białym krukiem wśród intelektualistów czy – mówiąc brzydko – moli książkowych. Bo cóż to za intelektualny mól książkowy, który biega, pływa, jeździ na rowerze, chodzi po górach... rwie, wyciska, podnosi ciężary, mimo że ukończył 70 lat?...

Jego samego to osobliwe połączenie nie dziwi. W końcu już starożytni Grecy stworzyli najlepszy system wychowawczy oparty na pajdei, czyli na harmonijnym rozwijaniu ducha i ciała.

„Ćwiczcie więcej fizycznie – doradzał studentom, z którymi prowadził zajęcia z przekładu na uniwersytecie – a będziecie mieli świeższy i bardziej otwarty umysł!”. Do roku 1980 przez 18 lat uprawiał wyczynowo podnoszenie ciężarów. W dwubój ach ciężarowych zdobył nawet pierwszą klasę sportową, a w wyciskaniu na leżąc należał w wadze lekkiej do czołówki krajowej, osiągając w najlepszym okresie 122 kilogramy. Jednak – na szczęście – nie dał się namówić

do ciężkich ćwiczeń, cztery razy w tygodniu, które stanowiłyby ogromne obciążenie dla stawów i kręgosłupa, i pewnie dziś odbiłyby się na zdrowiu. Paru jego kolegów, którzy zdecydowali się na ciężki trening – gryzie już dziś ziemię bądź stało się na starość kalekami. Taka bywa cena złotych medali i zwycięstw w halach sportowych czy na stadionach. Niemniej, przetrwał w swoim czasie – bagatela! – po 8-11 ton dwa razy tygodniowo...

Z kontuzji Irek leczył się zwykle sam, bo lekarzom wypisującym uśrednione, standardowe recepty jakoś nie dowierza. Gdy w okresie zawodniczym 85-kilogramowa sztanga zmiażdżyła mu stopę, zastosował własne metody leczenia, inne od rad doktora („Każdy sportowiec zna swój organizm lepiej od lekarzy”) i w trzy miesiące po katastrofie startował już w zawodach, choć przepowiedano mu trwałą kontuzję. I dziś nie chodzi do doktorów, „leczy się” – w zimie podnoszeniem ciężarów, w lecie pływaniem, bieganiem, jazdą na rowerze, którą uwielbia. Systematycznie uprawianym sportom zawdzięcza szczupłą, „żyłową” sylwetkę bez grama tłuszczu oraz zdrowie i znakomitą kondycję. Uważa – o ironio – że pamięć miał „raczej średnią”, a tym, co go uczyniło wielojęzycznym, była systematyczność i zdolność do dłuższej koncentracji na nauce danego języka. Bywało, że potrafił poświęcić jej bez reszty pięć godzin dziennie i to przez dłuższy czas, co pozwoliło mu, na przykład, nauczyć się samemu w ciągu roku włoskiego.

Czy z wiekiem rejestruje ubytki w pamięci? Owszem, wypadają mu słowa z języków, z którymi nie miał długo do czynienia. W związku ze słabą pamięcią wzrokową wypadają mu z pamięci na przykład „obrazki” z pisma chińskiego... Teraz oddalił się od orbity hebrajskiego i tybetańskiego, za to wrócił do palijskiego i sanskrytu jako do swojej największej fascynacji językowej... a także do nowogreckiego. Z wiekiem zauważa też inne „obsuwy” pamięciowe dotyczące szczegółów, nazwisk, dat... ale w końcu – jak mówi – nie miał nigdy wybitnej pamięci, więc wcale mu to nie przeszkadza. Tak naprawdę – przekonuje – z treningiem mózgowym jest trochę tak, jak z treningiem sportowca. W miarę ćwiczeń osiąga się coraz lepsze wyniki, a na starsze lata pamięć dłużej potrafi się bronić przed degradacją. Dziś jeszcze wyciska na ławce 85-kilogramową sztangę i wcale nie odczuwa większego zmęczenia niż, powiedzmy, dwa lata temu.

Oczywiście zawsze czuję i czułem się prywatnie wyróżniony faktem znajomości z Irkiem Kanią, który – jak twierdzi – mnie jako poetę „autentycznego” ceni, i może dlatego jego globoidalna, podwawelska głowa traktuje go partnersku moją, li-tylko podwawelską. Ba. Jego Jaśnie Oświecona Głowa ma ochotę wymieniać uwagi z moją „pomrocą”, rozjaśnianą z rzadka błyskami metafor i intuicji – na temat literatury, współczesnej wersji pajdei zaproponowanej przez Constantina Noica – wielkiego rumuńskiego mistrza duchowego odkrytego przez Kanię dla Polaków. A także – wiary i niewiary (czy Bóg gra w kości, czy nie?), przyszłości skomputeryzowanego świata, który zbyt

mocno wierzy w możliwości cywilizacji technicznej, pozostawił natomiast gdzieś w tyle lub na marginesie sprawy ducha. Zawsze przy spotkaniu pytam Irka, czy sprawił sobie już komputer, na co nieodmiennie odpowiada: „Nie mam komputera, ale mam za to święty spokój”. Cóż, jak mu tu nie wierzyć, że nie musi korzystać z wiedzy skumulowanej w Internecie, skoro dysponuje w głowie własnym skarbcom wiedzy!... Dzięki której Pierwsza Dama Poezji Polskiej może mówić: „Zapytajcie o to Irka. Kania wszystko wie!”.

Spotkanie autorskie w Borzęcinie

Borzęcin. Udane spotkanie we wsi rodzinnej, po raz pierwszy tak tłumne. Andrzej Ślubiak pięknie śpiewał, ja czytałem wiersze. Przed wystęпом – nerwy, bo utemperować Andrzeja nie jest łatwo...

Dużo radości, niestety krótkiej, bo na drugi dzień w Krakowie wiadomość, że Zosi wynaleziono w Szpitalu Narutowicza guza. Chodzę przygluszony. Czyżby rajski pobyt na Krecie miał być ostatnimi dniami bez trosk? Troski dopadają człowieka i nie pozwalają mu się zbyt długo cieszyć. Niestety.

Czekamy na jutrzejsze badanie tomograficzne.

24 czerwca

Zosia przeszła pomyślnie operację. Najprawdopodobniej jej guz – jaka ulga! – nie ma nic wspólnego z nowotworem złośliwym. Wiem, co to chemioterapia, i nie chciałbym, żeby powtórzyła moją drogę, tym bardziej że nie jestem pewny, na jaki stopień zdałbym egzamin jako samarytanin.

Przeżyliśmy razem – na wozie i pod wozem – 40 lat. Różniliśmy się, ale może dzięki temu udało nam się stworzyć prawie normalny dom, gdy wielu innym ludziom parającym się jazdą figurą na lodzie i chodzeniem po linie nad przepaścią (a tym poezja jest i w ogóle sztuka) domy rozpadły się jak domki z kart.

Dusza ma naturę symfoniczną

Wysok do Naczęstawic. Chcę napisać reportaż dla opolskich „Stron” o księdzu Jerzym Kowoliku, twórcy i założyciela jedynej na polskiej wsi orkiestry symfonicznej... Po raz pierwszy pojawiłem się u niego w Naczęstawicach w 1996 roku, zwabiony wiadomością, że istnieje tu „Symfonia Rusticana”. Dziś, latem 2011, odwiedzam go ponownie na plebanii. Bezpośrednia przyczyna? Ksiądz Jerzy Kowolik wybiera się na emeryturę. Minęło jak z bata strzelił czterdzieści lat jego proboszczowania i niewiele mniej od założenia zespołu. Na koniec sierpnia parafianie pożegnają swego proboszcza, który zamierza wyjechać do swoich braci do Popielowa.

cdn.